

# Fragment książki Dona DeLillo „Mecz o wszystko”

przeł. Michał Kłobukowski

Noir sur Blanc, Warszawa 2013

Wiele godzin później, kiedy już obaj przegapiliśmy kolację, Bloomberg przetoczył się na plecy. Udało mu się to bez zdejmowania rąk z karku. Używał łokci jako dźwigni i hamulców, jak podwozia przy lądowaniu. Przypominało to rodzaj zadania: obrócić własne ciało o sto osiemdziesiąt stopni, nie zmieniając wzajemnego układu poszczególnych części. W końcu ułożył się i zapatrzył w sufit. Siedziałem na swoim łóżku, oparty plecami o ścianę. Usytuowanie ciała może się wydawać nieistotne, ale byłem przekonany, że jest ogromnie ważne, gdzie każdy z nas się uplasował i w którą stronę patrzy. Słowa nadają ciału pozycję, ona zaś z czasem zaczyna dyktować zdarzenia. Słońce stopniowo się zniżało, a ja usiłowałem objaśnić Bloombergowi tę koncepcję.

– Historia jest winą – powiedział.

– Jest też usytuowaniem ciała. To, co ludzie mówią, ma znaczenie tylko dopóty, dopóki język ustawia ludzkie masy albo pewną liczbę doniosłych obiektów w istotnych korelacjach. Potem staje się prawie matematyczny. Od tej chwili o wszystkim decydują usytuowania, a język jest jakby historycznym różniczkowaniem. Z tego, co my dwaj dzisiaj jeszcze powiemy, niewiele pozostanie. Zapamiętamy tylko, gdzie siedzieliśmy, w którą stronę mieliśmy zwrócone stopy, pod jakim kątem stykały się nasze rzeczywistości. Jeżeli dzisiejszy wieczór ma jakąkolwiek wagę, bierze się ona z naszego wzajemnego usytuowania, z relatywnych uplasowań, tego rodzaju spraw. Milion pielgrzymów stoi przodem do Mekki. Pomyśl, jaka w tym moc. A teraz wszyscy się obracają. I kłaniają. I modlą się. Historia to kąt styku różnych rzeczywistości.

– Historia jest winą. Głównie winą.

– Co ty tu właściwie robisz, Anatol?

– Odżydzam się.

– Tak też mi się zdawało. Obecność Anatola w Logos ma jakiś duchowy sens, pomyślałem. To musi być trudne zadanie. Nic dziwnego, że jesteś taki spięty.

– Wcale nie jestem spięty.

– Nawet nie zszedłeś dzisiaj na kolację. Jesteś taki spięty, że nie możesz jeść. To całkiem oczywiste.

– Próbuję stracić na wadze – wyjaśnił Bloomberg. – Jestem jak most. W czasie upałów się rozszerzam. Creed chce, żebym zbił wagę do stu trzydziestu siedmiu kilo.

– A ile teraz ważysz?

– Równe sto pięćdziesiąt.

– Nie wypacasz sadła, kiedy ćwiczymy bieg w miejscu, pad na brzuch, przewrót na wznak, podskok i znowu bieg w miejscu albo się przepychamy?

- Przy takiej pogodzie się rozszerzam.
- Powiedz, Anatol, co się robi, żeby się odżydzić?
- Jedzie się gdzieś, gdzie nie ma Żydów. Potem modyfikuje się swój sposób mówienia. Eliminuje wielkemiejskie słownictwo. Pytającą intonację. Całą tę ludową mądrość. Melodyjny zaśpiew. Szyk przestawny. Przejmuje się zupełnie inne słownictwo i frazeologię. Następnie przekształca się własny umysł w bezlitosny instrument. Uczy się odrzucać pewne kategorie rozumowania.
- Dlaczego już nie chcesz być Żydem?
- Mam dość tego wiecznego poczucia winy. Przytłaczającego bagażu historii.
- A na czym ta wina polega?
- Na tym, że jesteśmy niewinnymi ofiarami.
- Zmieńmy temat.
- Oraz przedrostek i końcówkę – powiedział Bloomberg. Miał wciąż tę samą minę subtelного melancholika, zajętego przeżywaniami uporczywych zim gdzieś na północnym krańcu skali kompasu. Pomyślałem, że zima jest chyba jego porą, tak jak była moją, i wcale mnie nie dziwiło, że obaj wylądowaliśmy w Logos. Już wtedy, długo przed nadejściem pierwszych śniegów, wyczuwało się coś zimowego, przeciwstawne pory roku niemal przeplecione, wrażenie krótkotrwałości, jeden kolor, wiele z zimowej czystości i ciszy, sprzyjające warunki, żeby rozum wziął gorę.
- Anatol, myślisz czasem o tym, żeby przejść na zawodowstwo?
- Brak mi szybkości. Nie jestem dość szybki w nogach. Tweego ciągle mi truże, że nogi mnie gubią. Mówi, że jakbym szybciej biegał, tobym asekurował najlepiej w całym kraju.
- Ja bym chciał grać zawodowo – powiedziałem. – To by było coś niesamowitego.
- Masz szansę, Gary.
- Jestem za wolny. I nigdy nie będę miał dosyć krzepy, żeby raz za razem wchodzić w przepychankę, dwadzieścia albo i trzydzieści razy w jednym meczu. I jestem za mało zwrotny. Zawodowiec musi mieć przyspieszenie. Ale swoją drogą byłoby niesamowicie, jakby mi się udało. Już sama ta myśl jest niesamowita.
- W wielkich miastach są Żydzi – powiedział Bloomberg. Przez otwarte okno wpadał lekki powiew. Mówiliśmy bardzo wolno, prawie jak pijani. Słowa zdawały się wzbijać ku sufitowi w lekkim, słodkim powietrzu. Wymawiane zdania były jakby nie całkiem nasze. Chwilami mnie zaskakiwały, chociaż nie mówiliśmy niczego nadzwyczajnego. Może te wszystkie wrażenia brały się z głodu.
- Jak to jest, kiedy się waży sto pięćdziesiąt kilo?
- Jakby się było przegadany akapitem.
- Powinni ci dać większe łóżko.
- Nie potrzebuję większego. W ogóle wszystko mi się tu podoba i świetnie się układa. Cieszę się, że tu przyjechałem. To był dobry pomysł. Dowód inteligencji. A łóżko jest w sam raz.
- Cisza ci nie przeszkadza?
- Jaka cisza? – zdziwił się.

- No, wiesz. Ten wielki hałas na dworze.
- Czyli nad pustynią. Ten warkot.
- Cisza. Wielki metaliczny zgiełk.
- Nie przeszkadza mi.
- A mnie tak – powiedziałem.

Rozmowa sprawiała mi kolosalną frajdę. Byłem pijany głodem. Z języka spływała mi mądrość za mądrością. Nasze słowa unosiły się w półmroku rozjaśnianym słabą księżycową poświatą – nieważkie zdania, wyglansowane spokojną, niezachwianie pewną wiedzą stuleci. Pragnąłem, żeby rozwijały się tematy, odwieczne kwestie na miarę dyskusyjantów antycznego formatu, dotychczas nierozwiązane zagadki, wielkie krwawe ochłapy, które moglibyśmy rozszarpać zębami mastyfów. Nie zadowolilibym się niczym, co byłoby wyprane z romantyzmu. Chłodnego zdystansowania wymagały jedynie takie dziedziny jak astrofizyka, mechanika kwantowa, wszelkie pedantyczne zagadnienia, tak subtelne we własnym załamany świetle, że umysły naszego pokroju raczej by się poddały w obliczu ich pruderyjnej maszynierii. W naukach wymiernych nie było żadnej wulgarności ani śmieszności – niczego, co można by opić albo oplakać wzorem Rosjan, którzy przed stu laty w powieściach brodatych tytanów złopali wodę i rozpaczliwie wąpili w Boga. Bloomberg i ja potrzebowaliśmy mężczyzn, umasowionej świadomości, wielkich wulgarnych armii, bezmyślnie szarżujących po równinach. Anatol ważył sto pięćdziesiąt kilo. Już choćby to miało wymiar historyczny. Jego waga budziła we mnie głęboki szacunek. Była afirmacją brawurowych możliwości, drzemiących w gatunku ludzkim; przekraczała granice legend i wracała poprzez mgłę w uroczyste szaleństwo historii. Ważyć sto pięćdziesiąt kilo. Cóż to była za nabożna wulgarność! Wydawała się celem godnym kandydatów na świętych i biczowników. Nowa asceza. Wszelkie wizyjne sposobności, jakich nastrecza post. Żywić się roślinami i zwierzętami zrodzonymi z ziemi. Rozszerzać się i tarzać. Istnym skarbem wydawał mi się ogrom Bloomburga, bezkształtność, czysta wulgarna rozkosz i to jego uczucie, że jest przegadaną prozą. Było to poniekąd przeciwieństwo śmierci.

- Nogi zachowują właściwości z chwili narodzin – powiedział Bloomberg. – Czyli albo są szybkie, albo powolne, i nic się na to nie poradzi. Tweego o tym wie. Ale i tak ciągle mi truje.
- Tweego to pół-człowiek, pół-świnia. Wszyscy asystenci Creeda są świniowaci, ale on jest pod tym względem niezrównany. Stuprocentowy pół-wieprz. Tweego, Vern Feck i Hauptfuhrer. Mitologia wołała przemilczeć ten gatunek.
- Ale ja jednak w pewien sposób szanuję Tweego. On myśli w jednym kierunku: prosto przed siebie. Tylko celuje i strzela. Ma nieubłagany umysł. Ja to szanuję. Moim zdaniem to wybitnie współczesna cecha, typowa dla projektantów systemów, doradców do spraw zarządzania i strategów nuklearnych. Podstawą jest tu fantastyczna monotematyczność. Coś, co szczerze szanuję.

– Wszystko zależy od katów – powiedziałem. – Od kąta zderzenia wielkich mas. I od tego, pod jakim kątem wystrzeliwuje się rakiety. Od kąta trafienia tępych narzędzi w konkretną powierzchnię. Rozważ nasze wzajemne rozmieszczenie.

– Mów, mów. Słucham.

– Weź pod uwagę usytuowanie. Jak się ma stopa do biodra. Kolano do ucha. Kąty wewnątrz katów. Wzajemne relacje. Kąt padania. Kąt odbicia. Oczywiście ta moja koncepcja jest dopiero w powijakach.

– Dokąd chodzisz myśleć, Gary?

– Ostatnio sporo przebywam na pustyni. Można tam rozwijać różne teorie. W słonecznym żarze oczyszcza się aparat myślący. A propos. Czemu jesteś taki biały, Anatol? Wahałem się, czy cię spytać.

– W miarę możliwości unikam słońca, bo nie lubię, jak mi złazi skóra. Nienawidzę tego całego procesu. Zadowolmy się stwierdzeniem, że mam nienaturalnie wyrazistą świadomość gadzich antecedensów.

– A ja właśnie lubię, jak mi złazi – odparłem. – Lubię sięgać ręką za plecy i ściągać sobie płat skóry. Albo żeby ktoś mi ją ściągał. Robiła mi to jedna dziewczyna w Coral Gables. Pomału ściągała mi skórę z pleców. Była Żydówką.

– Wydawała przy tym jakieś dźwięki?

– Odgłosy. Wydawała odgłosy. Bloomberg lekko zmienił pozycję.

– Jestem głodny – powiedział. – Na kolację była kura. Pieczona kura z warzywami i chlebem kukurydzianym. A na deser placek brzoskwiński.

– Daj sobie spokój z dietą, Anatol. Jakbyś zszedł do stu trzydziestu siedmiu kilo, byłby z ciebie lepszy zawodnik. Za to przy stu pięćdziesięciu z hakiem byłbyś większym człowiekiem.

– Możliwe, ale nieprawdopodobne. Swoją definicję prawdopodobieństwa opieram na założeniu, że dana liczba w danym wzorze wyraża szansę wystąpienia określonego uporządkowanego zbioru zdarzeń, przy czym liczbą tą może być stosunek liczby elementów współrzędnych, które dadzą nam ten zbiór zdarzeń, do całkowitej liczby elementów uważanych za możliwe.

– Z góry się cieszę na kolejną taką rozmowę, kapelanie. Przy Logos College działały dwie szkoły oficerów rezerwy – wojsk lądowych i lotnictwa. Nie zapisałem się do żadnej, ale przyjęto mnie do tej drugiej jako wolnego słuchacza. Geopolityka – godzina w tygodniu. Historia sił powietrznych – godzina w tygodniu. Aspekty nowoczesnej sztuki wojennej – godzina w tygodniu.